

Brat Jan Zub – wspomnienia

NAŚLADUJĄCE WIARY ICH

Urodziłem się 4 października 1926 roku w miejscowości Różaniec, oddalonej około 30 km od Biłgoraja. Byłem najmłodszym z piątki rodzeństwa. Mój ojciec (również Jan) był żonaty dwukrotnie. Z pierwszego małżeństwa urodzili mu się dwaj synowie: Serafin i Tymoteusz. Po śmierci pierwszej żony ojciec ożenił się z Katarzyną Dudko. Z tego małżeństwa urodziło się troje dzieci: moje siostry Maria, Anastazja, oraz ja – Jan.

Spośród mojego rodzeństwa znana była braterstwu jedynie siostra Maria, po mężu Wieczorkiewicz. Braterstwo Wieczorkiewicz mieszkali w Sompolnie, niedaleko Poznania. Po śmierci małżonka siostra Maria przez jakiś czas mieszkała w Biłgoraju. Ostatnie lata swojego życia spędziła w DPS Betania w Miechowie.

Moi rodzice byli wyznania prawosławnego. Kiedy miałem około sześciu lat, mój ojciec poznał Prawdę. Osobą, która się do tego przyczyniła, był brat Habuda. Był on naszym sąsiadem. Trudno powiedzieć w jaki sposób brat Habuda poznał Prawdę. Prawdopodobnie mógł przywieźć to wspaniałe „Poselstwo” z Niemiec, gdzie po I wojnie wyjechał do pracy lub mógł spotkać braci z okolicznych miejscowości.

Wiadomo na pewno, że w okresie międzywojennym serca ludzi były otwarte na Słowo Ewangelii. W Różańcu braterstwo wywodzili się przeważnie z wyznania prawosławnego, choć mieszkali tam również katolicy. Moim zdaniem większe zainteresowanie Prawdą było wśród prawosławnych. W okolicach Różańca bracia mieszkali w takich miejscowościach jak: Biszczka, Chmielek, Korchów, Obsza oraz Zamch.

W mojej pamięci pozostało wydarzenie, które było przełomowe w życiu mojego ojca. Otóż po uroczystości pogrzebowej mojej babci, ojciec miał od popa czynione wyrzuty, że porzucił pozycję i uznanie, którym cieszył się, jako członek prawosławnej społeczności i poszedł za głosem zwodziele. Ta sytuacja utwierdziła go tylko w służności obranej drogi za Chrystusem. Zrozumiał również, że dla przełożonych duchownych ważniejszym było uznanie ze strony ludzi, niż pójście za głosem Dobrego Pasterza i światłem Ewangelii.

Moi rodzice Jan i Katarzyna na początku lat trzydziestych poświęcili swoje życie na służbę dla Pana i w takim duchu starali się wychowywać dzieci. Owocem tej pracy obie córki: Maria i Anastazja poświęciły się w młodym wieku. Ja wraz z rodzicami bywałem na większych społecznościach w Obszy, oraz Biszczu, gdzie zgromadzało się ponad 100 osób. Większe zebrania od-

bywały się również w Różańcu w domu braterstwa Wnuk. Z dzieciństwa zapamiętałem, że w naszych okolicach przebywał Brat August Stahn i mój ojciec odwoził go furmanką z Różańca do oddalonej o około 10 km wioski Zamch.

Podczas nabożeństw ogólnych znamienne dla mnie były zeznania świadectw, w czasie, których braterstwo opowiadali o swoich doświadczeniach w drodze do Prawdy i trudnościach życia codziennego, jako mniejszość wyznaniowa. Trudności, te nie zniechęcały braci, wprost przeciwnie dodawały im odwagi w drodze za Panem. Pamiętam relacje braterskie, kiedy za złamanie zakazu czytania Biblii, prawosławny pop miał karać chłostą. Działo się tak prawdopodobnie w Biszczu.

Początkowo w Różańcu i okolicach, istniały obok siebie społeczności Braci Wolnych i Epifanii. Bracia żyli w przyjaźni i często spotykali się na wspólnym rozważaniu Słowa Bożego. Zbór Pański w Różańcu w okresie przedwojennym liczył około 20 osób. Nabożeństwa odbywały się w domach braterstwa Wnuk, Habuda, oraz Zub. W zborze służyło trzech starszych: mój ojciec, brat Habuda oraz młody brat o nazwisku Goch. Był on uzdolnionym w służbie Pańskiej. Jego rodzina zginęła z rąk okupanta, on sam stracił życie w tragicznych okolicznościach.

Podczas niedzielnych nabożeństw najczęściej prowadzono badania beriańskie, bracia mówili także wykłady. Były również społeczności w środy, na których między innymi bracia diakoni mówili szkoły prorocze, nie mieli, bowiem takiego przywileju na nabożeństwach niedzielnych. Wśród rodzin braterskich z okolic wspominam braterstwo z Zamchu: Czyraków, Kopaków, Kozaków, Pietrusów, ze zboru w Biszczu: braterstwo Gumielów, Kłatów, Żyłów oraz Schabów.

Wraz z wybuchem II wojny rozpoczął się trudny czas w spokojnej wsi Różaniec, a tym samym w życiu społeczności braterskiej. Wojska niemieckie stacjonowały w Różańcu. Zabroniono organizowania nabożeństw. Pamiętam natomiast, że w rodzinnym gronie śpiewaliśmy pieśni. Różaniec był wioską partyzantów i uciekinierów z transportów. Jedną z takich osób po ucieczce z transportu ukrywała się przez kilka dni u braterstwa Wnuk. Okupanci karali okoliczną ludność za wspieranie partyzantki, czy przechowywanie uciekinierów. Samo podejrzenie za taką działalność kończyło się spaleniem domostwa i śmiercią rodziny. W takich okolicznościach zginął brat Wnuk, dziadek siostry Oli Gumieła. W czasie jednej z takich akcji Niemców, przypadkiem znalazł się w gospodarstwie, które

podzieliło los tych którzy udzielali pomocy zbiegom.

Dla naszej rodziny, jak i dla wielu mieszkańców Różańca, najtragiczniejszy był marzec 1943 roku. 19 marca Niemcy rozpoczęli pacyfikację wsi. Wczesnym rankiem otoczyli Różaniec i zaczęli palić domostwa, a tych, którzy próbowali uciekać zabijali. Tego dnia na naszych oczach został rozstrzelany mój brat Tymoteusz. Miałem wtedy 16 lat. Wraz z ojcem i najstarszym bratem Serafinem trafiłem do obozu przejściowego w Zwierzyńcu, a potem do Zamościa. Trafił tam również brat Habuda – został on jednak zwolniony nieco wcześniej. Brat Habuda znał język niemiecki (po I wojnie pracował w Niemczech) i został wybrany na początku wojny przez społeczność miejscowości jako „mąż zaufania” w kontaktach z okupantem. Zginął jednak tragicznie zastrzelony przez partyzantów w nocy podczas snu.

W obozie w Zamościu władze niemieckie przeprowadzały śledztwo, poszukując partyzantów i ich pomocników. Po czterech tygodniach śledztwo zakończono. Po około miesiącu, mój ojciec ze starszym synem Serafinem, powrócili do Różańca. Ja jeden z rodziny pozostałem w obozie w Zamościu. Pozostałem tam jeszcze przez około dwa miesiące oczekując na transport do Niemiec. W tamtym czasie w Zamościu po raz ostatni widziałem mojego ojca. W obozie przebywał również brat Winiarczyk z Józefową. Był on szewcem. Razem z nim naprawiałem buty, choć początkowo nie wiedziałem kim on był. Mój ojciec po wyjściu z obozu skontaktował się z bratem z Zamościa o nazwisku Bazan. Dopóki nie zostałem wywieziony do Niemiec, brat Bazan co tydzień podawał mi paczkę z bochenkiem chleba.

Transport do Niemiec trwał dość długo, bo około miesiąca, w wagonach towarowych z ławkami – było to w maju 1943 r. Początkowo dojechałem pod Berlin, gdzie pracowałem przy budowie hangarów. Później przewieziono mnie do obozu pracy w kopalni węgla o nazwie „Lager Teutoburgia”, gdzieś pomiędzy Berlinem, a Dortmundem. Tam miało miejsce pewnego przykre wydarzenie. Pierwszego dnia pracy w kopalni, po zakończonej dniówce, wraz z innymi robotnikami miałem na noc wrócić do baraków, które znajdowały się w pewnej odległości od kopalni. Moi towarzysze dość szybko opuścili szatnie i okazało się, że zgubiłem grupę, było już po zmroku, nie byłem w stanie sam odnaleźć drogi do obozu. Spotkałem oficera, który zaprowadził mnie na komisariat, gdzie po przespanej nocy przewieziono mnie do pobliskiego miasteczka. Tam postawiono mnie pod ścianą i dotkliwie pobito ku przestrodze i odwieziono do obozu mojego zakwaterowania. Podejrzewano że zamierzałem uciec.

Następnie przewieziono mnie do samego miasta Dortmund również do kopalni węgla. Pracowałem tam przy obsłudze taśmociągu, a potem przy windzie transportującej wagoniki z urobkiem. W tamtym czasie uległem

wypadkowi, po nim przez miesiąc byłem zwolniony od pracy. W Dortmundzie przebywałem do czasu zbombardowania kopalni przez Aliantów. Kiedy na skutek nalotów w mieście brakowało żywności, władze wyraziły zgodę, aby przymusowi robotnicy mogli wyjechać w inne rejony kraju, między innymi do środkowych Niemiec w okolice miasta Weimar do pracy w rolnictwie. Zgłosiłem się na ochotnika do tej pracy, otrzymałem odpowiednie dokumenty i wraz z kolegą z kopalni wyruszyliśmy na południe Niemiec. Było to w 1944 roku.

Po przybyciu do Weimaru, gospodarze z okolicznych wsi wybierali pracowników spośród przybyłych, mój towarzysz podróży również został wybrany. Okazało się, że tylko ja sam z całej grupy nie zostałem wybrany do pracy. Gospodarze potrzebowali wyrośniętych, silnych mężczyzn, a ja byłem wówczas młodym, drobnym młodzieńcem. Po jakimś czasie jednak pojawił się człowiek, który zabrał mnie ze sobą. Trafiłem do wsi oddalonej o 7 km od Weimaru, pod nazwą - Niedergrunstedt,

Niemieccy gospodarze okazali się dobrymi ludźmi. Ze wzruszeniem wspominam, że byłem tam traktowany jak członek rodziny. Być może również z powodu tego, iż gospodarze mieli dzieci w moim wieku. Ich córka była o rok starsza, a syn nieco młodszy.

Starałem się uczciwie pracować i było to odwzajemniane przez ludzi, u których przebywałem. Od tamtej pory nie zaznawałem uczucia głodu, który przez ostatni czas wciąż mi towarzyszył. Gospodarze prawdopodobnie byli luteranami, w ich domu była Biblia leżąca na stole. W tym gospodarstwie zastał mnie koniec wojny.

W oddaleniu od rodzinnego domu, od społeczności braterskiej, jako młody człowiek doświadczałem różnych wpływów od ludzi, z którymi przyszło mi przebywać. Przyznaje, że były momenty w moim zachowaniu, którymi trudno byłoby się pochwalić, jednak w moim sercu zawsze była pamięć o Panu Bogu i do Niego w modlitwie kierowałem swoje prośby.

Z perspektywy czasu widzę, że Ojciec Niebieski nie pozostawił mnie bez opieki. Prace, które wykonywałem, jako przymusowy robotnik były do zniesienia, a gospodarze, u których przebywałem dali mi namiastkę domu rodzinnego, który w młodym wieku utraciłem. Po zakończeniu wojny w sierpniu 1945 roku dotarłem do Biłgoraja. Tam odnalazłem dawnego sąsiadę z Różańca, który w tym czasie zamieszkał w Biłgoraju. Od niego dowiedziałem się, że mój dom rodzinny nie istnieje. Moi rodzice i najstarszy brat Serafin wyjechali na wschód, w okolice Lwowa. Otrzymałem później dwa listy od ojca, w których opisywał trudne warunki życia na wschodzie i odradzał mi przyjazd na Ukrainę. Niedługo potem ojciec zmarł. Mamę ściągnąłem do Polski w roku 1954.



Po powrocie do Biłgoraja spotkałem się ze swoją siostrą Marią, która w czasie wojny została wywieziona na wyspę Wolin nad Bałtykiem i nieco wcześniej powróciła po wojnie w rodzinne strony. Drugiej swej siostry Anas-tazji już nie zobaczyłem, zmarła jako bardzo młoda mężatka mając 21 lat, zanim ja wróciłem z Niemiec.

Początkowo przebywałem u cielesnej rodziny, a następnie zamieszkałem w Zamościu. Mieszkalem u braterstwa Olszewskich, u których odbywały się nabożeństwa. Z tamtego okresu pamiętam również braterstwo ze zboru - Łagowskich, Szkodzińskich, oraz Ziemińskich. W tamtym czasie byłem uczestnikiem konwencji w Lipowcu, gdzie uczestnicy nabożeństwa pod strażą milicji przeprowadzeni zostali do pobliskiej miejscowości Tereszpól. Umieszczono nas w nieoświetlonym pomieszczeniu. Nie pamiętam uczucia lęku. Bracia śpiewali pieśni z pamięci, a rano zostali wypuszczeni z posterunku.

W roku 1947 zostałem powołany do wojska do Skierniewic, nie odmówiłem. Przebywając w takim środowisku zacząłem zastanawiać się w jaki sposób ma wyglądać moje życie i co w nim jest naprawdę ważne. Kiedy 1949 r opuszczałem jednostkę wojskową, przyświecała mi myśl, że chcę swoje życie związać ze społecznością braterską, odczuwałem brak łączności z Prawdą i braćmi.

Na krótko powróciłem w rodzinne strony, jednak moim zamiarem było znaleźć się wśród tzw. „Zamszanów”, czyli braterstwa z przedwojennego zboru w Zamchu i okolic, którzy zostali wysiedleni na tereny północno-zachodniej Polski i mieszkali w miejscowości Lipie niedaleko Białogardu. Były to rodziny Braterstwa Czyraków, Kopaków, Kozaków i Pietrusów. Zostałem przyjęty przez braci, pomimo że przyjechałem ubrany w mundur wojskowy, nie posiadałem bowiem innego ubrania. W zborze w Lipiu zapoznałem się ze swoją żoną, siostrą Anną Schab, która w tym czasie przebywała w Lipiu i pracowała, jako krawcowa. Siostra Anna pochodziła z miejscowości Żary niedaleko Biłgoraja. Poświęciłem się na służbę Panu podczas nabożeństwa w Lipiu. Symbolu chrztu udzielił br. Dymitr Kopak. Tego dnia poświęcili się również siostra Olga Schab (jeszcze wtedy Budzyńska) i małżeństwo z Koszalina – ich nazwiska nie pamiętam. Było to w czasie Świąt Wielkanocnych w 1950 r (8-10 kwietnia). Społeczność braterska z tamtego okresu żyła w skromności i braterskiej miłości. Miłość ta przejawiała się zarówno w kontaktach i staraniu jeden o drugiego, jak również jako chęć społecznego zgromadzania się. Znamienne wydarzenie w zborze w Lipiu miało miejsce na początku lat 50-ych. Był to pierwszy dzień konwencji. Na miejscu pojawili się funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa ok.10 osób. Przyjechali przed rozpoczęciem nabożeństwa i zaczęli spisywać uczestników konwencji. Pamiętam uczucie lęku wśród braterstwa. Kiedy zbliżyła się

godzina rozpoczęcia, brat Dymitr Kopak nie zważając, na ich obecność rozpoczął konwencję, podczas, gdy urzędnicy wciąż wykonywali swoje obowiązki. Podał pieśń, a następnie służył wykładem. Jestem pełen uznania dla odwagi brata Dymitra, który wtedy był młodym człowiekiem, mającym zaledwie dwadzieścia kilka lat. Zachowanie brata Dymitra sprawiło, że konwencja odbyła się dalej bez większych przeszkód i była wspaniałym wzmocnieniem dla braterstwa, których serca poczuły się zaniepokojone przybyciem nieoczekiwanych „gości” Pamiętam z tamtych czasów wyjazdy na nabożeństwa do Szczecina – do domu braterstwa Rozwarskich, przyjeżdżali tam również braterstwo Chocyk z Myśliborza, wyjazdy na nabożeństwa w zborze w Swarzędzu u braterstwa Tholów, następnie wyjazdy do Olsztynka do braterstwa Wnuków i Gumielów. Byliśmy z żoną Anną członkami zboru w Lipiu, a potem w Białogardzie do roku 1967. Kiedy mieszkaliśmy w tamtych stronach urodzili się nam dwaj synowie Roman i Bogdan. Następnie przeprowadziliśmy się do Biłgoraja. W 1967 roku zbor w Biłgoraju nie posiadał jeszcze sali nabożeństw i był mniej liczny niż dzisiaj. Nabożeństwa odbywały się w domach: braterstwa Filów, Roratów, Żyłów, Zubów, Schabów. Następnie sala zboru zaistniała w domu braterstwa Antoniego i Olgi Schab.

Jako diakon służyłem w zborze w Biłgoraju przez sześć lat w tym czasie prowadziłem szkoły z dziećmi. Z przyjemnością wspominam przywilej pracy z młodymi, ponieważ wykazywali się oni zaangażowaniem. Zbor nie posiadał wówczas odrębnej sali na szkoły, dlatego odbywały się one rano, na godzinę przed rozpoczęciem nabożeństwa. Oprócz zajęć z Biblią bracia prowadzący szkoły, w czasie wakacji organizowali krótkie wycieczki dla młodzieży. Następnie służyłem braterstwu w Biłgoraju jako starszy przez 42 lata. W związku małżeńskim z siostrą Anią przeżyliśmy razem 57 lat, starając się służyć Panu i braciom. Siostra Anna, przez wszystkich nazywana Hanią zmarła w listopadzie 2007 roku.

Zawsze odczuwałem opiekę Ojca Niebieskiego, wtedy kiedy samotnie przebywałem na wygnaniu w czasie wojny, jak i w całym moim późniejszym życiu. Sięgając pamięcią w historię swojego życia, które nie było usłane różami nie czuję nienawiści do ludzi, którzy zabrali mi część dzieciństwa i całą moją młodość i zniszczyli mi moją rodzinę cielesną. Jestem wdzięczny Bogu Najwyższemu że dożyłem do obecnych dni, że Pan pozwolił założyć mi swoją rodzinę, a co najważniejsze dał mi prawdziwą rodzinę Bożą, społeczność braterską która pomogła mi w trudnych przełomowych chwilach w moim życiu.

Dziękuję Bogu za to że na drodze mojego życia spotkałem moją żonę Annę, z którą przy wspólnej naszej pracy nie doznaliśmy już biedy i wiedliśmy szczęśliwe życie rodzinne. Jedną z ulubionych moich pieśni jest pieśń zatytułowana „Kto los swój oddał w

ręce Boga” dodawała mi ona sił w trudnych chwilach życia. Bardzo cenię sobie społeczność braterską. Dziś mam ukończone 92 lat, mam trudności z czytaniem i słyszeniem, jednak zawsze uczestniczę w nabożeństwach w niedzielę i w środę. Uważam, że największe świadectwo wydajemy swoim życiem. Wciąż staram się miłować braci i robię wszystko by unikać urazy i gorzkości serca. Szanuję społeczność i za najwyższą wartość uważam zgodę między braćmi. q

Opracowano na podstawie wspomnień brata Jana Zuba



braterstwo Jan i Hanna Zub – lata 50-te

Zub Jan
R-
„Straż”